

Polemiki i dyskusje

PRAWO NARODÓW DO SAMOSTANOWIENIA

PRAWO DO SAMOSTANOWIENIA – OPIUM DLA NARODÓW*

Prawo narodów do samostanowienia należy dziś do tych pojęć języka polityki, które w świecie ponad wszelką wątpliwość ocenia się wyłącznie pozytywnie. Tak jak jednostka może samorealizować siebie tylko wtedy, kiedy w sposób nieograniczony rozporządza sama sobą, tak naród wydaje się osiągać swój prawdziwy cel, kiedy może decydować o własnym losie poprzez wolne samostanowienie.

Przeszkodą jest fakt, że dzisiejszy podział świata na państwa jest po większej części skutkiem wydarzeń, które mają mało bądź też nie mają nic wspólnego ze samostanowieniem narodów żyjących w tych państwach, narodów nie czujących się z tego powodu oszukiwanymi w podstawowych prawach. Austria będąca tego dobitnym przykładem, jest przecież bezpośrednio produktem konsekwentnego odmawiania prawa do samostanowienia. Gdyby zostało ono uwzględnione w latach 1918/1919, to Niemcy czescy i morawscy, jak i Południowi Tyrolczycy przyłączyliby się do niemieckiej Austrii, ta z kolei przyłączyłaby się do Rzeszy Niemieckiej, podczas gdy Vorarlberg przypadłby Szwajcarii. Wszystkie te zmiany zostały zahamowane przez zwycięskie mocarstwa, przy czym zakaz przyłączenia do Niemiec zapisany w traktacie pokojowym miał obowiązywać na zawsze. I obowiązuje on faktycznie do dziś jako art. 4 traktatu państwowego z 1955 r. Tylko kilku mniejszym obszarom pogranicznym przyznano w 1919 r. prawo do plebiscytu.

W jaki sposób katerygryczne żądania narodów do realizacji prawa do samostanowienia dadzą się pogodzić z częstokroć całkiem odmiennymi warunkami powstawania państw? Czy prawo do samostanowienia jest w ogóle w stanie i czy nadaje się do tego, aby stać się podstawą sprawiedliwego i jednocześnie funkcjonującego ładu międzynarodowego? Kwestie te będą rozpatrywał na trzech płaszczyznach. Wpierw spróbuję pokazać, że w przypadku prawa narodów do samostanowienia chodzi o sprzeczne w sobie pojęcie, że próba urzeczywistnienia przy jego pomocy pożądanego stanu prowadzi ku nierozwiązywalnym powikłaniom. W drugiej części spróbuję

* Artykuł oparty na wykładzie wygłoszonym 25 listopada 1996 r. w ramach seminarium zorganizowanego przez austriackie ministerstwo obrony nt. „Nowy ład w Europie i prawo narodów do samostanowienia”.

dostarczyć dowodów, że historia zastosowania formuły o prawie do samostanowienia lub odwoływanie się do niej odzwierciedla ów sprzeczny charakter tego pojęcia oraz, że w rzeczywistości każdy z tych przypadków opierał się na całkiem innych zasadach. Trzecia część kończy się tezą, iż próba uczynienia prawa narodów do samostanowienia czymś w rodzaju podstawowego prawa międzynarodowego jest powszechną w naszych czasach tendencją do jurydyfikacji wydarzeń o pierwotnie politycznym charakterze. Tendencja ta prowadzi bynajmniej nie do zastąpienia, lecz jedynie do zamaskowania politycznej siły przez prawo.

I

Najpierw dokonam analizy samej formuły. Pojęcie „prawo do samostanowienia” należy do kategorii indywidualnej i jest jednym z kluczowych pojęć nowoczesnego myślenia, w którym łączą się ze sobą wolność, równość i autonomia. Według takiego ujęcia, każdy człowiek, szanując wolność wszystkich innych ludzi, jest wolny w stanowieniu o sobie i swoim własnym losie. Jest to przede wszystkim ocena antropologiczna, która otrzymuje jednakże normatywny charakter, przyznając jednostce także prawo do samostanowienia.

Zrozumiałym było przeniesienie tej idei ze sfery jednostki do sfery kolektywnej. Powstało przy tym pytanie, czym jest kolektywne „ja” i jak ono samo siebie określa. Nie chcę się bliżej wdawać w ten powszechny problem politycznej filozofii, pragnąc przejść zaraz do naszego konkretnego podmiotu, do narodu. Wychodzę przy tym z założenia, że prawo narodu do samostanowienia polega na tym, aby naród ten mógł założyć własne, niezależne i suwerenne państwo. Nie jest on do takiego działania zobowiązany, ale musi posiadać prawo do uczynienia tego w każdej chwili, bez jakiegokolwiek uzasadnienia i wypełniania jakichkolwiek innych warunków – inaczej prawo do samostanowienia musiałoby zostać odpowiednio ograniczone, np. zastrzeżeniami, że naród musi liczyć przynajmniej 2 mln członków i dysponować jednolitym językiem lub obszarem zasiedlenia o co najmniej 10 000 km².

Aby móc urzeczywistnić taki stan, w którym każdy naród na tej ziemi ma swoje własne państwo, należy przede wszystkim zdefiniować podmiot, czyli naród. Możliwe są dwie metody, subiektywna i obiektywna. Metoda obiektywna wychodzi od istnienia określonych własności i cech, na przykład języka, religii, wyznania, pochodzenia, cech rasowych lub historii. Oczywiście nawet takie kategorie nie są jednoznaczne. Wspólna historia jest dziełem historyków, a odpowiedź na pytanie, czy dwoje ludzi mówi tym samym czy dwoma różnymi językami, zależy od tego, jak definiuje się „język”. Problemy z językiem serbskim, chorwackim i serbsko-chorwackim ukazują, że takie pytania mają nie tylko charakter akademicki. Jeszcze ważniejszym jest, że kryteria w rzeczywistości stale się krzyżują. Skoro tylko do zdefiniowania narodu zastosuje dwa lub więcej kryteriów, podzielenie ludzkości na narody w sposób jednoznaczny i wolny od sprzeczności staje się niemożliwe. Jeśli natomiast posłużyć się tylko jednym kryterium, to zawsze pozostanie kwestia sporna, które z nich powinno być tą decydującą kategorią.

A zatem metoda polegająca na tym, że ktoś z zewnątrz dokonuje podziału ludzkości według określonych kategorii, zaprzecza pojęciu samostanowienia.

Skoro pragnie się uniknąć stanowienia o obcych [*Fremdbestimmung* – tak w oryg. – K.M.], pozostaje metoda subiektywna. Członkiem narodu jest ten, kto pragnie do niego należeć. Każdy człowiek ma prawo wybrać swą przynależność narodową. Mimo całkowitej swobody wyboru również w tym wypadku narusza się samostanowienie w sensie indywidualnym, ponieważ nie można pozwolić, aby nie decydowano o przynależności narodowej w ogóle, ani też, by decydowano się na przynależność do wielu narodów. Przede wszystkim jednak metoda ta o tak dalece ograniczonej wolności wyboru nie wszędzie możliwa jest do praktykowania. Wiąże się to ze specyficznym przedmiotem prawa do samostanowienia, państwem. Ma ono pod różnymi względami wyjątkowy charakter, w szczególności pod względem terytorialnym. Podczas gdy np. członkowie najprzeróżniejszych stowarzyszeń, a także wspólnot religijnych mogą żyć bez zastrzeżeń na tym samym obszarze, przy czym przynajmniej w przypadku stowarzyszeń z reguły nie jest problemem uczestniczenie w dwóch, a nawet wielu z nich, to przestrzenne wymieszanie przedstawicieli samoustanowionych narodów prowadzi z uwagi na mające się tworzyć państwa do poważnych i w końcu nierozwiązywalnych problemów. Pomocne jest wówczas z reguły rozróżnianie pomiędzy narodami i mniejszościami. Narodom przyznaje się prawo do samostanowienia, mniejszościom natomiast tylko prawo do specjalnego statusu. Kto ma jednak decydować, według jakich kryteriów, jaka grupa jest narodem, a jaka jedynie mniejszością? Nie byłoby zbyt sensowne pozwalanie ludziom na dokonanie samodzielniego wyboru, gdyż za każdym razem opowiadaliby się przecież za wyższym statusem narodu. A więc należy zadecydować z zewnątrz, a tym samym znowu wbrew prawu do samostanowienia, opartym na obiektywnym kryterium. Odnosi się to również już do pierwotnej decyzji, kto chciałby należeć do jakiego narodu. Aby bowiem ludzie mogli się w ogóle opowiedzieć za przynależnością do jakiegoś narodu, najpierw z zewnątrz muszą zostać zdefiniowane narody, pomiędzy którymi przyjdzie wybierać.

Z tych różnorodnych sprzeczności zdają się prowadzić trzy wyjścia. Pierwsze opiera się na definicyjnym zabiegu. Jako naród definiuje się wówczas po prostu wszystkich mieszkańców lub obywateli danego państwa. Dzięki temu podział świata na państwa stale odpowiada z konieczności i w sposób automatyczny podziałowi na narody. To rozwiązanie jest przy tym bardzo elastyczne. Jeśli następuje gdziekolwiek zmiana terytorialna, to wraz z przynależnością państwową ludności zmienia się *per definitionem* także jej przynależność narodowa. W miejsce rzeczywistego rozwiązania pojawiła się więc jednak zwykła tautologia, która nie przynosi żadnych zmian zainteresowanym.

Drugie rozwiązanie polegałoby na ponownym uporządkowaniu świata wedle życzeń narodów. Ponieważ nie wszystkie życzenia dałyby się jednocześnie urzeczywistnić, bo częstokroć wykluczają się nawzajem, należałoby ustanowić najwyższą instancję, która mogłaby podejmować decyzje w sposób ostateczny, dzięki czemu przypadłaby jej rola rządu światowego. Ten sposób wprawdzie starać się o możliwie jak największe przestrzeganie zasad sprawiedliwości, ale mimo to jego decyzje naruszałby prawo wielu narodów do samostanowienia.

Trzecie rozwiązanie to „dopasowywanie” ludzi do granic poprzez przesiedlenia. Wiemy o tym, jak łatwo przesiedlenia przemieniają się w wypędzenia, albo co gorsza w unicestwienie, i nie mogą sobie wyobrazić, że ktoś chciałby uznawać taką możliwość za urzeczywistnianie prawa narodów

do samostanowienia. Dylemat związany z pojęciem narodu (*Volk*) daje się opisać także w inny sposób. Mało kto zaprzeczy, że nie ma sensu określać pewnych ugrupowań ludzkich jako narody, i każdy jest w stanie podać natychmiast przykłady. Z faktu, że można wskazać na naród, nie wynika jednak, że naród można zdefiniować w ogólnikowej formie. Istnieje tutaj paralela do pojęcia rasy. Nikt nie zaprzecza, że istnieją ludzie o różnym kolorze skóry. Pomimo to panuje zgoda co do tego, że ogólna definicja „rasy” nie tylko nie jest możliwa, lecz także, że jest niebezpieczna, ponieważ stwarza niedopuszczalne rozgraniczenia i trwale przyporządkowania. Narody nie są mniej zdolne do zmian niż rasy. Naród nie jest obiektywnie daną wielkością. Wyobrażenie, że istnieją czyste rasowo narody jest równie bezsensowne i zgubne, jak wyobrażenie o czystej rasie.

Jeśli te przemyślenia są słuszne, to pojęcie prawa do samostanowienia należy odrzucić. Prawo bez ogólnie definiowalnego podmiotu nie jest prawem, lecz przywilejem. Ludzkość można podzielić na narody w końcu tylko w tak niewielkim stopniu, w jakim da się ona podzielić na rasy. Pod tym względem jesteśmy wciąż jeszcze niewolnikami romantycznych poglądów, wywodzących się przede wszystkim od Herdera. Narody traktuje się jako jednostki, a dla uproszczenia sprawy zakłada się, że każdy naród posiada zwarty obszar zasiedlenia, na którym może w czasie rozwijać swój indywidualny charakter.

II

Jeżeli nawet koncepcja prawa narodów do samostanowienia wykazuje tak wiele niejasności i sprzeczności, to o możliwości jej zastosowania decyduje ostatecznie nie teoretyczna refleksja, lecz praktyka. Z tego powodu chciałbym przedstawić krótki przegląd dziejów domniemanego lub faktycznego zastosowania prawa do samostanowienia. Rozróżniam przy tym cztery fazy.

1. Pierwsza faza sięga od Rewolucji Francuskiej do I wojny światowej. Wyrażenie „prawo narodów do samostanowienia” stosowane było jeszcze z rzadka. Natomiast wyobrażenie, iż przynajmniej niektórym narodom przysługuje niemal naturalne prawo do posiadania własnego państwa, rozprzestrzeniło się coraz bardziej, zwłaszcza w trakcie trwania zakończonych sukcesem narodowych procesów zjednoczeniowych, jak we Włoszech lub Niemczech, ale także wśród kilku innych mniejszych narodowości, które rozpoczęły artykułować swe aspiracje, lub które, by użyć tu słów Benedicta Andersona, zostały w tym czasie wymyślone. Praktyka tymczasem mało troszczyła się o to, a jeszcze mniej pytano ludzi o ich preferencje. Jedność Niemiec z perspektywy samych Niemców faktycznie była podziałem, dokonany nie wskutek narodowego plebiscytu, lecz zbrojną przemocą. Również we Włoszech użycie siły zbrojnej stworzyło podstawę zjednoczenia. Wprawdzie wszędzie odbyły się plebiscyty, ale były one tak jawnie manipulowane, że nikt nie traktował ich poważnie. Np. na Sycylii, która potem przez długie lata opierała się piemontczemu panowaniu, 432 053 osoby głosowały za i 667 przeciw przystąpieniu.

2. W drugiej fazie, która obejmuje okres wojen światowych, formuła o samostanowieniu narodów stała się sloganem, przy czym szczególną siłę oddziaływania miał pokojowy program Wilsona. Regulacje pokojowe przy-

znały wielu narodom własną państwowość z mało stabilnymi granicami. Jeśli brano nawet pod uwagę całościową regulację, to nie mogło być mowy o powszechnym urzeczywistnieniu zasady samostanowienia. Służyła ona zaledwie jako przypadkowa wytyczna przy rozbiórce pokonanych w czasie wojny wielkich, etnicznie heterogenicznych państw: habsburskiego, rosyjskiego i osmańskiego. Na niektórych obszarach, gdzie przemieszanie ludności było szczególnie widoczne, nie dało się wytyczyć przy najlepszej nawet chęci żadnych granic narodowościowych, przez co koncepcja państwa narodowego pozostawała bezsensowna, dopóki nie zaczęto uciekać się do przesiedleń, jak to nastąpiło między Grecją a Turcją. Nawet wyraźne granice narodowościowe nie zawsze czyniono granicami między państwami, a mianowicie tam, gdzie wyszłoby to na korzyść przegranych. Znalazło to potwierdzenie w tym, że po rozstrzygnięcia w postaci plebiscytu sięgano nader oszczędnie. Nie pozwalano decydować ludności o przynależności państwowej na przykład tam, gdzie domagała się ona najgłośniejszego plebiscytu, jak np. w niemieckiej Austrii i na obszarach Sudetów, lecz jedynie na obszarach, gdzie relacje pomiędzy konkurującymi o wpływy stronami nie były jasne, a interesy głównych zwycięskich mocarstw mniej jednoznaczne. Do plebiscytu uciekano się szczególnie jednak tam, gdzie nadarzała się okazja, by przy pomocy instrumentów demokratycznej legitymizacji osłabić jeszcze bardziej przegranych, jak na przykład w Prusach Wschodnich i na Górnym Śląsku, lub też jeśli chodziło jedynie o rozdzielenie posiadłości jak w Burgenlandzie.

Byłoby więc fałszywym mniemanie, że ład pokojowy z lat 1918/1919 ukształtowany był przez powszechne zastosowanie zasady samostanowienia. Prawo do samostanowienia było raczej środkiem w rękach zwycięzców dla wzmocnienia własnej pozycji. Przegrani dostrzegali to i dlatego oburzali się. Uprawnione było przy tym jedynie oburzenie na hipokryzję zwycięzców. Ten bowiem przypadek zastosowania prawa do samostanowienia pokazał, że prawo do samostanowienia po zakończeniu wojen jest bezużyteczne, nawet gdyby walki zakończyły się powszechnym patem. Jest dziwaczną i absurdalną refleksją, że państwo w trakcie długoletniej wojny, w której giną miliony – broni lub też zdobywa obszar tylko po to, by ewentualnie w ciągu jednego dnia utracić go na drodze plebiscytu. Kto się wdaje w wojnę, ten musi się pogodzić z jej skutkami i rezultatami. Jeśli już, to zamiast wojen należałoby przeprowadzać plebiscyt. Gdyby nowy ład w Europie w latach 1918-1919 był konsekwentną realizacją prawa do samostanowienia, Niemcy znacznie powiększyłyby swoje terytorium. Ich militarna klęska przemieniłaby się w zwycięstwo.

W Europie wyciągnięto z tych doświadczeń wnioski, zwłaszcza że próba wprowadzenia w nowo utworzonych państwach skutecznej ochrony mniejszości przyniosła niewielki efekt. W okresie międzywojennym próbowano dokonać pewnych rewizji granic uzasadniając je prawem do samostanowienia, natomiast przy wytyczaniu granic po II wojnie światowej nie przyjmowano się ani plebiscytami, ani tym, w jaki sposób przebiegają granice między narodowościami. Sięgano raczej po raz pierwszy na stosunkowo dużą skalę po środek w postaci przesiedleń, czyli przemocą dostosowywano granice między państwami do granic między narodowościami. Prawo do samostanowienia nie zostało również ujęte w statucie Narodów Zjednoczonych jako główne międzynarodowe prawo zasadnicze.

3. Gdyby Europa była izolowana w świecie, to można byłoby zakładać, że prawo do samostanowienia w 1945 r. w sensie politycznym ostatecznie zanikło.

Stało się jednak inaczej. Pojęcie to przeżyło renesans w związku z dekolonizacją. Różnica między władcami kolonialnymi, a podbitymi przez nich narodami kolonialnymi była tak ewidentna, że żądanie wolności i niepodległości wydawało się przykładem zastosowania i realizacji prawa narodów do samostanowienia. W rzeczywistości jednak dekolonizacja łączyła się z prawem do samostanowienia tylko w sposób warunkowy przy pomocy czegoś, co w żadnym razie nie było wiodącym punktem widzenia. Sceptycyzmem napawa fakt, że w całym procesie dekolonizacji doszło do plebiscytów tylko w całkiem nielicznych, nieznaczących i wyjątkowych przypadkach. Dostyc często i powszechnie ubolewa się nad tym, że granice między nowymi państwami, wytyczone przeważnie przez mocarstwa kolonialne, z reguły są wszystkim innym, tylko nie granicami między narodowościami, a ponadto w małym stopniu uwzględniają interesy i potrzeby mieszkańców. Dekolonizacja dokonała się praktycznie wyłącznie na zasadzie *uti possidetis*, która urąga zasadzie samostanowienia. Została ona rozwinięta przy dekolonizacji Ameryki Łacińskiej i głosi, że kolonialne granice administracyjne stają się granicami niepodległych państw, przy czym wolno tylko zadawać pytanie, gdzie przebiegają kolonialne granice administracyjne, a nie, jak doszło do ich powstania. Jakakolwiek zmiana tych granic jest wykluczona. Zasadę *uti possidetis* można określić też emfaticznie jako zasadę poświęconych granic kolonialnych. W trakcie dekolonizacji na pozostałych kontynentach po 1945 r. została ona konsekwentnie zachowana od początku do końca. Nawet, gdy została złamana w pojedynczych przypadkach z ważnych przyczyn, to w jej miejscu nie wystąpiły np. procesy samostanowienia, lecz nowe administracyjne wytyczne granice przez mocarstwo kolonialne. Dotyczy to szczególnie podziału Indii w 1947 r. Utrzymując, że dekolonizacja po 1945 r. to przypadek zastosowania prawa do samostanowienia, należałoby uznać to samo także w odniesieniu do uwolnienia się amerykańskich kolonii spod panowania Hiszpanii w początkach XIX w., a w związku z tym, że zasada ta była rozwinięta w pełni już w tamtym czasie.

Naturalnie również dla protagonistów dekolonizacji było jasnym, że proces ten nie odpowiadał utartemu wyobrażeniu o realizacji prawa narodów do samostanowienia. Dlatego podjęli się przedefiniowania tego pojęcia. Ludność zamieszkałą w obrębie kolonialnych granic administracyjnych uznali za podmiot prawa do samostanowienia, a jego realizację za jednorazowy akt, który polega na przekształceniu obszaru kolonialnego w niepodległe państwo, przy czym kierowano się założeniem, że duża większość ludności aprobejuje niepodległość – założenie, które z pewnością w większej części przypadków było słuszne. Na tym jednak prawo do samostanowienia się kończy. Dla wyzwolonego państwa podstawową zasadą jest zasada terytorialnej integralności. Każda próba secesji zostaje zduszona, w razie konieczności zbrojnie, przy czym świat, jeśli nie przyklaskuje, to przynajmniej udaje, że tego nie widzi. W obrębie granic kolonialnych zamiast o prawie do samostanowienia należy mówić o prawie do niepodległości.

Było to i pozostaje zapewne nadal realistyczną doktryną. Większość państw Trzeciego Świata, co jest zrozumiałe, kieruje się nią konsekwentnie ze względu na własny interes. Jest ona jednak w rzeczywistości nie do pogodzenia z tradycyjnym wyobrażeniem o prawie narodów do samostanowienia. Musi ona sięgać po definicyjny „trik”, aby zrównać naród i państwo. Prowadzi to dalej do tak osobliwych zjawisk, jak na przykład, że Jawajczyk i Papuas

uchodzą za przedstawicieli jednego jedyne go narodu indonezyjskiego, chociaż dzielą ich całe światy, podczas gdy mówi się o narodzie wschodniotimorskim, rozgraniczając go od mieszkańców zachodniej części tej samej małej wyspy.

O ile owa tautologiczna definicja państwo= naród, względnie naród= naród państwowy (*Staatsvolk*) nabrała znaczenia w praktyce, o tyle w końcu przecież koncepcja prawa do samostanowienia nie dała się do niej zredukować. Sięgające dalej, a poprzez to bardziej subwersywne wyobrażenia o prawie do samostanowienia pozostawały skuteczne przynajmniej na drugim planie. Jednak dla wszystkich zainteresowanych było jasne, że chodzi tu o puszkę Pandory, która raz otwarta, w wielu rejonach świata prowadzić będzie do ciągnących się w nieskończoność konfliktów. Dlatego też zasadniczo nikt się nie ważył kwestionować zasady świętości granic kolonialnych.

4. Impuls do zmian nadszedł z Europy po 1989 r. Wraz z tą datą zaczynam moją czwartą fazę. Ożywiły się narodowości, które w Europie były dużo lepiej znane aniżeli azjatyckie lub afrykańskie grupy narodowe (*Volksgruppen*) i które z tego powodu zdobywały sobie większą sympatię. I tak rozwiązanie Związku Radzieckiego i Jugosławii nastąpiło przy znacznej przychylności ze strony zachodniej opinii publicznej. Nie można zaprzeczyć, że w trakcie rozpadu obu państw odzyskały niepodległość narodowości, które już od dawna miały na to nadzieję lub też żądały własnego państwa. Mimo to znów chodziło o zastosowanie zasady *uti possidetis*, a nie zasady prawa do samostanowienia. Związek Radziecki i Jugosławia zostały konsekwentnie podzielone wzdłuż wewnętrznych granic republik. Zostały wprowadzone przeprowadzone plebiscyty w celu dodatkowego zatwierdzenia, częstokroć jednakże w wątpliwych okolicznościach, i nie odegrały one nigdzie decydującej roli. Nawet te obszary, na których przedtem rzadko kiedy podnoszono żądania niepodległości, stały się niepodległe, a nawet musiały się nimi stać, jeśli przedtem tworzyły republikę, jak na przykład Białoruś, Mołdawia czy Macedonia. Nie pytano przy tym, czy wcześniejsze granice republik z punktu widzenia samostanowienia są zadowalające czy też nie, choć wiadomo było, że niektóre z nich świadomie zostały wytyczone, aby podzielić narodowości, można powiedzieć, że granice państw powstały z łaski Stalina i Tity.

To, co wydarzyło się po 1989 r. było wszystkim innym, tylko nie restauracją zasady samostanowienia. Raczej był to jednorazowy proces, który wkrótce doprowadził do otrzeźwienia i nad którym próbowano zapanować przy pomocy reguły *uti possidetis*. Nowe granice uchodzą za równie uświęcone jak granice kolonialne w Trzecim Świecie. Nie toleruje się ani zmian granic, ani dalszych podziałów. Przypadkiem doświadczalnym jest Czeczenia. Nikt nie może utrzymywać, że Czeczeni mają mniejsze moralne prawo do niepodległego państwa niż Białorusini. Jednak nie tworzyli oni republiki radzieckiej. Gdyby Czeczenia stała się niepodległa, to *uti possidetis* odnosiłaby się do niższego szczebla granic administracyjnych. Konsekwencją byłoby dalsze rozdrobnienie Rosji, połączone z pomnżaniem sytuacji konfliktogennych, czym nikt nie wydaje się obecnie zainteresowany.

Jeszcze wyraźniej kształtuje się sytuacja w przypadku Bośni. Po rozpadzie Jugosławii na pojedyncze republiki zgodnie z prawem do samostanowienia, zrozumiale musiały być dalsze żądania oddzielenia terytoriów i zmian granicznych w odwołaniu do tego samego prawa. Zamiast tego układ pokojowy z Dayton zawiera zakaz secesji. Niekonsekwencja wspólnoty międzynarodowej stała się widoczna szczególnie drastycznie, kiedy prezydent Serbów bośniackich

przed ostatnimi wyborami publicznie musiała przeproszać, ponieważ zażądała dla swej grupy narodowej własnego państwa, względnie przyłączenia do innego państwa. Odwołanie się do prawa do samostanowienia, które kilka lat wcześniej innym lokalnym przywódcom przyniosło międzynarodowe poparcie dla stworzenia własnego państwa, stało się przyczyną jej zguby. Być może Bośnia dzięki odrzuceniu zyska, podobnie jak wcześniej Austria. Jedną nie powinno się przy tym mówić o prawie do samostanowienia. Biljana Plavsic we włosienicy staje się w ten sposób symbolem wcale nie początku epoki coraz powszechniejszego urzeczywistniania prawa narodów do samostanowienia, lecz końca pewnej iluzji. Kiedy pogląd, iż prawo do samostanowienia jest chimerą prowadzącą do chaosu i anarchii w Trzecim Świecie już dawno zyskał prawo obywatelskie i potwierdzenie, w Europie musiał docierać do świadomości. W przypadku ZSRR można byłoby jeszcze mówić ostatecznie, że chodzi o państwa kolonialne, które należałoby rozwiązać, kierując się przykładem dekolonizacji, chociaż analogia słuszna jest tylko warunkowo. Natomiast określanie Jugosławii jako państwa kolonialnego byłoby z pewnością nie stosowne. W obu przypadkach należy mówić raczej o państwach wielonarodowych, które występują w świecie w znaczącej liczbie. Gdyby rozpoczęty w 1989 r. proces miał być kontynuowany, to państwa wielonarodowe musiałyby podzielić się na jednostki administracyjne. Byłby to po prostu nowy etap tworzenia niepodległych państw na wzór dekolonizacji na zasadzie *uti possidetis*, a w żadnym razie urzeczywistnienia prawa do samostanowienia.

III

Przechodząc do końcowych spostrzeżeń stwierdzam, że rzut oka na praktykę potwierdził moje refleksje. Próba konsekwentnego urzeczywistnienia prawa narodów do samostanowienia nie zbliża do ideału pokojowego, harmonijnego świata, lecz pogrąża świat w coraz to nowsze konflikty.

W obliczu tego stanu rzeczy wskazana jest rezygnacja z formuły prawa narodów do samostanowienia, zarówno w języku polityki, jak i języka prawa. Wzbudza ona bowiem oczekiwania, które nie mogą nigdy zostać zaspokojone. Jeśli traktować tę formułę poważnie, to wynika z niej prawo każdej ludzkiej wspólnoty, pojmującej samą siebie jako naród, do własnego państwa (stwierdzenie przez innych tego, co jest narodem, byłoby stanowieniem przez obcego). Byłoby to równoznaczne z powszechnym i nieograniczonym prawem do secesji, które jest równie anarchiczne co utopijne, i z tego powodu jest nie mniej zdecydowanie odrzucane przez specjalistów prawa międzynarodowego, jak i polityków. Również w przyszłości narody nie będą posiadały powszechnego prawa do samostanowienia, lecz jedynie niektóre z nich – te, które wykazują szczególnie dogodną konstelację. Popularność tej formuły prowadzi do tego, że narody wmawiają sobie, iż posiadają prawo do samostanowienia. Ale biada, jeżeli domagają się go w niewłaściwym czasie. Potem, kiedy uzyskają swą niepodległość, będą prędko pouczać inne narody, jak błędna jest droga do samostanowienia. I tak formuła o prawie do samostanowienia stanie się demagogicznym instrumentem, opium narodów.

Jeden zarzut wobec mojej tezy jest zrozumiały: czy nie kryje się w niej cyniczne potwierdzenie istniejącego układu sił, opartego na różnorodnym i powszechnym w świecie ciążeniu małych i dużych narodów, których

legalne prawa i roszczenia są ignorowane. Zarzuty te nie są prawdziwe przynajmniej w takich przypadkach, kiedy okazuje się, że można udowodnić, iż właśnie prawo do samostanowienia nie jest środkiem do powszechnego wyeliminowania tego bezprawia, lecz że prowadzi ono do nowego bezprawia. Moja teza nie głosi ponadto, że nie można zaradzić tej sytuacji, lecz jedynie, że prawo do samostanowienia nie jest do tego przydatne. Przyczyna tego leży nie tylko w jego immanentnej sprzeczności, lecz także w tym, że usiłuje ono odpolitycznić procesy o pierwotnie politycznym charakterze.

Główną kwestią, wokół której koncentruje się prawo narodów do samostanowienia jest podział świata na państwa, a tym samym podział politycznej władzy na świecie. Posiadanie terytorium przez każde państwo jest w końcu efektem rozszerzania tej władzy, nawet jeśli być może proces ten zaczął się już przed setkami lat. I to polityczna siła będzie w dalszym ciągu właściwą podstawą stanu posiadania. Nie można po prostu zastąpić jej prawem, bo się ją tylko zamaskuje. Raczej idzie o to, by nieuniknione spory rozstrzygać pokojowo, a tym samym w sposób polityczny. Kwestii samostanowienia nie da się oddzielić od zagadnień mocarstwowości. Kto jest w stanie osiągnąć ją w dostatecznym stopniu, ten może założyć własne państwo, nawet gdy podstawy prawne nie są wystarczające. Polityczna siła może mieć różnicowane źródła. Może być rezultatem zmobilizowania wszystkich tych, którzy chcą mieć własne państwo. Może też wynikać z sojuszy z potężnymi państwami. W innych natomiast przypadkach jest ona skutkiem osłabienia mocarstwowości innego kraju, ostatni przykład to osłabienie Związku Radzieckiego. Także na odwrót nie zawsze każde powstające czy dokonujące secesji państwo musi wykazać się siłą polityczną. Francja zaakceptowałaby z pewnością szybciej secesję Korsyki niż secesję Paryża. Byłoby naiwne i nierealistyczne, gdyby zatuszowano wszystkie te polityczne kwestie i uznawano leżące u ich podstaw procesy za jedynie kwestie prawne. W naszym przypadku ta zależność od politycznych i specyficznie związanych z polityką z pozycji siły kwestii posiada być może nawet dobre strony. Powiększanie i pomniejszanie państw, ich rozbijanie i rozwiązywanie oraz łączenie jest sprawą o tak dużej wadze nie tylko dla bezpośrednio zainteresowanych, lecz dla całej wspólnoty państw, że zmiany powinny być możliwe tylko jako skutek głębokich procesów politycznych, a tym samym ostatecznie dokonywać się na podstawie perspektywicznego, długotrwałego i stabilnego kształtowania się politycznej siły. Stabilizacja następująca po dokonaniu zmian terytorialnych prowadzi często do trwających bez końca walk, jak np. w wielu częściach Afryki i w byłej sowieckiej Azji Środkowej.

Wyobrażenie, że świat można uporządkować przy pomocy prawa do samostanowienia, że można ustalić sprawiedliwe i racjonalne granice między państwami jest nietrafne. Ludzi dzieli wiele, począwszy od języka, poprzez religię i kulturę aż po naturalne przeszkody geograficzne. Każdej różnicy można przyporządkować jakąś granicę. W ten sposób powstaje kilka granic, które za każdym razem odnoszą się do jednego aspektu. Nie będą się one nigdy całkowicie pokrywać, również z granicami państw. Nie mogą w żaden sposób być identyczne z wszystkimi granicami wykształconymi na podstawie różnic naturalnych lub kulturowych, społecznych itd. Będą wobec tego nie tylko łączyć, lecz także rozdzielać – w wypadku, gdyby zastosowano przemoc. Przełęcz Brenner jest granicą naturalną, lecz nie etniczną czy religijną, a to samo dotyczyło Odry do roku 1945. To z kolei oznacza, że granice, widziane

całościowo, zawsze są też irracjonalne, niesprawiedliwe i absurdalne. Uzależniając ich uznanie od tego, czy są racjonalne i sprawiedliwe, chcąc nie chcąc, wywołuje się wojnę. Granice funkcjonują nie na zasadzie racjonalności i sprawiedliwości; granice funkcjonują raczej na zasadzie *credo quia absurdum*, kiedy uznaje się je dla nich samych. Wyrazem tego jest zasada *uti possidetis*.

Nie opowiadam się za zagwarantowaniem i utrwaleniem wszystkich istniejących na tym świecie granic. Chciałbym natomiast ostrzec przed iluzją, że poprzez wytyczanie granic można spełnić jakiś ideał ludzkości. W ten sposób dają spełnić się tylko ideały poszczególnych narodów. Odbywa się to jednak kosztem ideałów innych narodów. Proste rozwiązanie polega na tym, aby stopniowo pomniejszać znaczenie granic.

JÖRG FISCH

Tłumaczenie: Krzysztof Malinowski

Problemy poruszone przez J. Fischę i sposób ich interpretacji są na tyle interesujące, że zachęcają do szerszej dyskusji.

Poniżej zamieszczono, w porządku alfabetycznym, cztery wypowiedzi odnoszące się bezpośrednio do tezy autora artykułu.

SAMOSTANOWIENIE PAŃSTW I SAMOSTANOWIENIE NARODÓW

J. Fisch przedstawił skrótowo problem ze sfery prawa międzynarodowego i zarazem wewnątrzpaństwowego, narodowego. Obie te sfery nakładają się po części na siebie, ale też różnią się z punktu widzenia ich odniesienia. Zasada samostanowienia pokrywa się z zasadą suwerenności państw i jest dziś bezspornie akceptowana międzynarodowoprawnie. Co więcej – jest przez to prawo chroniona. Ingerencja w wewnętrzne sprawy państw ze strony innych państw stanowi generalnie rzecz biorąc delikt międzynarodowy.

Nie ulega zarazem wątpliwości, że obok instytucji samostanowienia państw istnieje istotna kwestia samostanowienia narodów. Pokrywa się ona z samostanowieniem państw w rozumieniu ogółu ich obywateli, natomiast nie musi wyrażać samostanowienia w aspekcie interesów poszczególnych ugrupowań etniczno-politycznych w państwach tzw. wielonarodowych lub wieloetnicznych, czy też w państwach tzw. narodowych opartych na jednym narodzie, tzw. przewodnim, który jest wyznacznikiem danego państwa, ale w którym jednak istnieją większe liczebnie (wykrystalizowane) mniejszości narodowe lub etniczne.

Samo pojęcie narodu nie jest – jak dotąd – skryształizowane. Według *Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN*, tom 4, ss. 396-397 narodem jest (ujęta nieco tautologicznie) zbiorowość ludzi wyróżniająca się świadomością narodową. Również autor omawianego tu artykułu nie próbuje dokonać określenia tego pojęcia.